
9 CZERWCA 1908 – 42 CHŁOPÓW Z KRÓLESTWA
POLSKIEGO WYRUSZA POCIĄGIEM DO CZECH.
ICH CELE TO IMPONUJĄCA WYSTAWA PRZEMYSŁOWA
W PRADZE, URZĄDZONA Z OKAZJI 60. ROCZNICY
WSTĄPIENIA NA TRON CESARZA FRANCISZKA
JÓZEFA, ORAZ CZESKA I MORAWSKA PROWINCJA.
W PODRÓŻY NIE TYLKO DOŚWIADCZAJĄ
RÓŻNICY CYWILIZACYJNEJ, LECZ OTRZYMUJĄ
TAKŻE LEKCJĘ SAMOORGANIZACJI.

Teofil Kurczak

W roku 1908 nie z dobrej swej woli siedziałem za granicą, pod Krakowem, z dala od swego gospodarstwa, od swoich. To też gdy się dowiedziałem, że nasi z Królestwa przyjeżdżają i jadą do Czech, ucieszyłem się bardzo i w Krakowie na kolej na spotkanie ich podążyłem. Bo i jakże się nie cieszyć, skoro się widzi, że brat mój, lud polski, naprawdę zaczyna się ruszać i sięgać po coś lepszego, że interesuje się tym nawet, jak żyją, pracują i gospodarują pobratymcy jego, Czesi, i że jedzie zobaczyć własnymi oczyma, co i jak oni tam robią!

[...] Wyjechaliśmy raniutko, żeby aż do Pragi jechać za dnia i wszystko po drodze widzieć. Boć dla nauki jechaliśmy. Jedziemy tedy przez Trzebinie, Bogumin, który dotyka granicy pruskiej, przez Dziedzice, aż do Ostrawy morawskiej. Odtąd zaczynają się już Morawy i zaraz kraj inny, odmienny.

Skupiamy się przy oknach wagonu, przewodnik* nas objaśnia, zwraca uwagę to na to, to na owo. Widzimy, jak okiem sięgnąć, wszędzie uprawa płaska, zboża kołyszą się jak fala morska, równiutko [...]. Nie jak u nas: góry, doły, zagłębienia, bruzdy, wymoczyska! Tu niwy zboża od granicy do granicy, jakby obciąż, od razu stoją ścianą i idą tak het po całym polu. Jakżeby przy tym wyglądały nasze zagonki, które przy bruzdach ledwo się kołyszą, a na grzbiecie wypalają? Jak nędza przy dostatku stałaby! Oj, ty nędzo ciemnego chłopca polskiego! Kiedy nas opuścisz?

* Maksymilian Malinowski, właśc. Miłgaj (1860–1948) – działacz ruchu ludowego, redaktor pism „Zorza”, „Zaranie”, organizator szkół rolniczych w Otrębusach i Kruszniku.



Miličín

Włóścianie



na naukach

Do rozglądania mieliśmy własne oczy, a że znalazły się i szkła dalekowzroczne (lornetka), tym szerzej więc okolicę mogliśmy wzrokiem obejmować i wpatrywaliśmy się w nią, bo było w co. Wszystkie drogi – same prawie szosy – oraz rowy powysadzane drzewami owocowymi! [...] Wioski, które z bliska i z daleka na horyzoncie widzimy, wszystkie białe, murowane, [...] kryte łupkiem. Z początku nie chcieliśmy wierzyć, żeby to były wsie: miasta i miasta, ale za to wsi ubogiej lub domku drewnianego, zwłaszcza krytego słomą – nie ujrzysz...

Na polach, jak gaiki, tu i ówdzie widać chmielniki małe – widocznie chłopskie; bo chłopci tutejsi chmiel uprawiają, kiedy nasz brat myśli, że mogą to czynić jeno dwory... Po polach nie widać tu naszej łopuchy, choć rosłaby chętnie, bo czasami oko ją wynajdzie. Ostu nie poświęci nawet w owsie, który tu spotykamy. Jęczmień bez ostu, bez chwastów, rośnie równiutkim, gęstym łanem, a jego kłosa wąsate jak gdyby grzebieniem były uczesane – takie równe, piękne! Skoro gdzie rośnie roślina uprawna, to tylko ona sama; współników do czerpania z ziemi pożywienia w chwastach różnych nie ma tu ona, bo ziemia przez dobrą uprawę widocznie od darmożjadów została już uwolniona.

Pociąg mknie dalej i dalej. W naszym wagonie pełno gwaru i wesołości, bo jechaliśmy

TEOFIL KURCZAK (1877–1962) – rolnik, społecznik, w II Rzeczypospolitej poseł na Sejm z ramienia PSL „Wyzwolenie” i PSL „Piast” (1919–22). Chłop z pochodzenia, większość życia spędził w Ostrowie pod Łowiczem, gdzie prowadził dziesięciohektarowe gospodarstwo. Ukończył trzyklasową szkołę powszechną, poza tym był samoukiem. Przed I wojną światową współpracował ze środowiskiem postępowej inteligencji warszawskiej, publikował w „Zorzy”, „Zaraniu”, „Siewbie”. Za wspieranie strajku szkolnego w 1907 roku aresztowany i osadzony w warszawskiej Cytadeli, a następnie zmuszony do opuszczenia Królestwa Polskiego. Po powrocie uczestniczył w powstaniu Łowickiego Towarzystwa Rolniczego (1909) i założył straż ogniową w Ostrowie (1910).

wszyscy razem. [...] Spostrzeże kto chłopą kosiar-ką tnącego trawę, więc woła: patrzcie! Inny zoczył w robocie pług parowy, więc kto może, przygląda mu się. Ówdzie widzimy orkę w krowy – znowu więc robimy sobie uwagi... Wszędzie widzimy, że skarpy kolejowe obsiane są mieszkanką z rajgrasu i koniczyny – i myślimy sobie, że także tu myśl i ręka ludzka działają, nie zaś dzika natura. Pożytek z tego dla człowieka!

[...] Nareszcie wjechaliśmy na dworzec Złotej Prahy, stolicy Czech. A tu nas wita Antoszka* z mężem i swoją córeczką [...]. Z Antoszką przyszedł Stanisław Forman, sekretarz Klubu Słowiańskiego. Przybył również Jarosław Rozwoda, szczerzy przyjaciel Polaków i ludu polskiego zwłaszcza, działacz na polu zjednoczenia Polaków z Czechami; przybyła artystka teatrów czeskich, Sławińska**, serdeczna i zacna niewiasta, nieraz wspomagająca Polaków, oraz inni. Zасыpują nas kwiatami, witają, aż nam się ze wzruszenia łzy radości puściły z oczu. Serdecznie wśród tych łez ściskamy się, a witający oświadczają, że nocleg i mieszkanie, dzięki panu Formanowi, mamy zapewnione. [...]

Następnego dnia rano przychodzą do nas [...] i wołają: „Czas do roboty! Idziemy na wystawę!”. Komitet wystawowy zaprasza nas i daje dla wszystkich wstęp wolny... Poszliśmy. Przechodzimy część miasta i przez most na drugą stronę Wełtawy, na wzgórze pomiędzy drzewami i ulicami, pełnymi dużych kamienic. [...] U wejścia wita nas imieniem komitetu Franciszek Hławaczek, sekretarz wystawy; wita nas po bratersku i wyraża radość, że włościanie polscy, jako tak liczni goście, po raz pierwszy zawitali do jego ojczyzny. [...]

Po kwadransie [...] poszliśmy zwiedzać wystawę przemysłu czeskiego. [...] Wystawa ta – jakby całe miasto. Domy na niej: pałace, wszystko piękne, stylowe, to na modłę najnowszej stawiane, to według wzorów starożytnej Grecji albo Egiptu, a jeden budynek – piwiarnia jakaś – w postaci olbrzymiego słonia, do którego wnętrza wchodzi się na piwo.

Każdy dział przemysłu ma swój osobny budynek. Czego tu nie ma? Są wielkie plany Pragi, jej urządzeń szpitalnych. Są osobne działy każdego z miast, a w nich widzimy, jakie tu miasta mają

* Antonina Smišková z domu Pelda (1858–1934) – działaczka ruchu ludowego, nauczycielka, tłumaczka i autorka broszur oświatowych.

** Jindřiška Slavínská (1843–1908) – popularna aktorka czeskiego Teatru Narodowego.



← Praga, czerwiec 1908.
Piwiarnia na Wystawie Izby
Handlowej i Przemysłowej

szkoły, jakie szpitale, jakie przytulki, urządzenia zdrowotne, jaki przemysł, fabryki! W działach maszyn huk, stuk; puścili je w ruch. Widzimy maszyny, które nadają ruch całemu szeregowi warsztatów, wyrabiających obuwie maszynowe. Gdzie indziej klekoczą maszyny drukarskie, które same dobierają czcionki (litery) i same je układają w łamy. Widzimy części okrętów morskich i całe niemal okręty. Przyglądamy się im pilnie, bo chłop, który nie wędrował do Ameryki, nie widział tego. Dalej spostrzegamy samochody, wagony kolejowe, prześlicznej roboty. Widzimy turbiny wodne różnego rodzaju – żelazne, a o wiele lżej chodzą i mniej wody potrzebują niż nasze koła młyńskie... Patrząc na to wszystko, człowiek dostaje pewnego zawrotu głowy. I jakże – pytamy – czyż wszystko to wyrabiają ręce czeskie? Owóż dowiadujemy się, że prawie wszystko to robią już Czesi. Pracują, wytwarzając bogactwo kraju. Robią nie tylko dla siebie, lecz wyroby swe posyłają i za granicę. [...]

Nie jednego dnia, ale całego tygodnia potrzeba by na obejrzenie tej wystawy [...]. Wędrowaliśmy tak [...] od działu do działu, a o kraju własnym myśleliśmy i nieraz w duszy płakaliśmy: czemu, nieszczęśni, wszystkiego tego mieć nie możemy?

Poszliśmy do działu tego przemysłu, który ma bezpośredni związek z rolnictwem. To nas ciekawiło. Oglądaliśmy więc przemysł cukrowniczy, który w Czechach bardzo jest upowszechniony. [...] Chcieli Czesi naocznie przedstawić zwiedzającym pracę przy uprawie buraków. We wgłębieniu zrobili całą wieś, nad nią skały, a wyżej między skałami plantację buraków cukrowych na korzeń lub na nasienne. [...] Ciekawił nas zwłaszcza zbiór nasienia buraków, bo u nas drobny rolnik nie bierze się do tego. Myśli, że to dla niego zajęcie zbyt delikatne! U nas tedy nasiona buraków plantują albo dwory, albo sprowadzamy je z zagranicy, albo wreszcie kupcy zagraniczni wynajmują znaczne obszary ziemi i sami plantują nasienie buraków, najczęściej nawet przy pomocy naszych ludzi, ale nie na nasz zysk. My więc potrafimy to robić, tylko zarządzić nie umiemy, bo świadomości, co i jak robić, nie mamy; głową nie lubimy pracować... A oto w Czechach chłopci buraki nasienne plantują! Kobiety nać ustawiają w koziołki, mężczyźni wożą już wyschniętą, a potem młóca... Wszystko widzieliśmy w takim modelu, iż nam się zdawało, że jesteśmy na polu i żywych ludzi widzimy przy robocie...

To samo było i z uprawą chmielu. [...] Równiny Moraw są nimi usiane, a tu na wystawie mogliśmy je oglądać jakby w żywym obrazie, bo w krzewach naturalnych, w robotnikach jakby prawdziwych – całą plantację chmielu. [...] Znaczne zresztą ilości chmielu wysyłają Czesi za granicę – do państwa rosyjskiego, do Holandii i do Anglii. Umieją wytwarzać na wywóz, a tak do kraju przypyływa im pieniąż z obczyzny. My tego jeszcze nie potrafimy. [...]

Hej, czegośmy na wystawie tej nie widzieli?! Nawet wyrabianie spirytusu, który się tu nazywa „lih”. Mniejsza o gorzelnię, bo truciznę wyrabiają, a głównie na głupocie lub nieświadomości najmniejszego ludu byt swój opierają. Ale to nas zainteresowało, że w Czechach jest jeszcze parę gorzelni, będących własnością spółek chłopskich. Tłumaczyli się nam, że wyrabiają „lih” do opalania maszyn i na wywóz za granicę.

No, juźci, chyba by chłopi nie zarobkowali na wyrabianiu trucizny dla najbliższych swych braci, chłopów...

[...] Pan Hlawaczek [...] zaprosił nas na skromną wieczerzę do „Czeskiej chałupy”. Jest to wierna kopia chaty włościańskiej czeskiej, według starodawnego wzoru i pomysłu samego ludu. Zasiadliśmy do stołu, a po posiłku Hlawaczek przemówił do nas, witając braci Polaków na ziemi czeskiej, w jej sercu, w Zlatej Pradze. Mówił po czesku, aleśmy go dobrze rozumieli. Mówił o tym, że między nami a Czechami winna być jedność, bo mamy wspólnego, strasznego, odwiecznego wroga w Niemcu. [...]

Dobrze i przyjemnie nam było w Pradze. Nauczyliśmy się niemało. Spotkaliśmy wielu mądrych ludzi, którzy nam na zebraniach, umyślnie urządzanych, na wiele rzeczy oczy otworzyli. Zaczny pan Rozwoda w treściwym a doskonałym przemówieniu zapoznał nas z działalnością różnych stronnictw czeskich, a zwłaszcza z dążeniem tutejszych ludowców. Nazywają się tu oni „agrarariuszami”, a stanowi to stronnictwo wszystkich wiejski, rolny, samodzielnie gospodarujący lud czeski. Stronnictwo to dziś jest bardzo silne; liczą się z nim wszystkie inne [...]. Że lud czeski zdobył się na moc, to jest rzecz naturalna; liczba jego największa, a w uświadomionym, oświeconym rozumie siła niespożyta. [...]

Wyjechaliśmy z Pragi w niedzielę w południe, a koło godziny 16.00 byliśmy już w mieście Kolinie [...] i z kochaną Antoszką razem, po

apostolsku, piechotą wędrujemy do Loszan! Idziemy tedy sobie piękną, równiutką, pałakowato ubitą szosą, śpiewając nasze polskie pieśni [...]. Szosa niepowybijana, jak u nas, albo nawet w Galicji, a po bokach obsadzona jabłoniemi, śliwami i czereśniami, które się już czerwieni! Gorąco nam; rad by człowiek jagodą ugasić pragnienie, więc na czereśnie spoziera, ale nie zerwiesz przecież, choć u nas się mawia, że co na drodze, to nieprzyjaciel [...].

– Mój Boże – pomyślałem – jacyż ci Czesi szczęśliwi! Mają nad drogami drzewa owocowe, a nikt ich nie łamie, nie niszczy i nikt nawet owocu nie oberwie, gdy u nas? – Mój Ty, Boże!

We własnym sadzie niekiedy upilnować owocu nie możemy. W roku zeszyłem u nas pod Łowiczem, w Strugienicach, pilnującego własnego sadu gospodarza łobuzi wiejscy ledwo nie zabili; pokaleczyli go tylko śrutem, a to przecież byli wiejscy chłopcy, gospodarscy synowie, którzy by własne sady mieć mogli i powinni lub którzy – zamiast wydać grosz na gorzałkę – mogliby sobie kupić owocu, nie zaś wyciągać rękę po cudze.

[...] Dochodzimy nareszcie do Loszan. Przed wsią stoi pan starosta (jakby u nas wójt) pan Józef Balatje z kilkoma *sedlakami* [gospodarzami]. Towarzyszący mu Maszyn przemawia do nas powitaniem w te mniej więcej słowa: „Cieszę się, iż dożyłem chwili, że mam zaszczyt przyjmować tę pierwszą wycieczkę drobnych rolników polskich w naszej wsi Loszanach. Wiemy tu, że wam bardzo ciężko zdobywać naukę rolną i wszelką inną, a więc, co mamy i czym możemy, wszystkim wam, panowie rolnicy, służyć będziemy [...]”.

Nasz przewodnik odpowiedział na słowa pana Maszyna, co nas spowodowało do przybycia do Czech. „Nie mamy u siebie szkół rolniczych, w których byśmy, jak chcemy, uczyć się mogli; nie mamy wzorowych gospodarstw; nie mamy stowarzyszeń i spółek, więc przyjechaliśmy do was, bracia Czesi, którzy wszystko to już macie, bo inne są wasze warunki i inna praca. Przyjechaliśmy zobaczyć to, coście wy już zrobili przez naukę, przez jednoczenie się; przyjechaliśmy wreszcie, żeby lud polski z ludem czeskim poznał się bliżej i nawiązał stosunki braterstwa. *Na zdar* [pomyślności] Czechom!”.

[...] Wieś zrobiła na nas wrażenie, bo domy murowane, niektóre piętrowe, czyste – zamożność z nich bije. Pan Maszyn zaprowadził nas do swojego. Zabudowania, jakie u nas i po dworach rzadko się widzi! Na pytanie nasze odpowiada, że



↑ Praga, czerwiec 1908. Uczestnicy wycieczki

ma 90 morgów* ziemi. W oborze stoją: 32 rosłe czerwono-białe krowy, 3 opasy, 17 cieląt, czteroletni buhaj. W wozowni dwa powoziki i bryczka, w stajni cztery rosłe konie do pracy – to wszystko na gospodarstwie trzywłókowym**. Oglądamy to prawie z chciwością i ciągle pytamy. Maszyn odpowiada nam, że hoduje bydło na opas, bo się to opłaca, że sprzedał buhaja za 380 rubli; że młóci siłą elektryczną, że ta sama siła pompuje mu wodę do zbiornika na górze śpichrza, a stąd rurami rozchodzi się ona i do kuchni, i do obór, i do stajni, i do chlewów. Opowiada nam dalej, że gospodarstwo jego daje mu 24 tysiące koron (około 10 tysięcy rubli) rocznego obrotu, a z tego czystego zysku zostaje mu około 6 tysięcy koron***.

My tego chciwie słuchamy i widzimy, że to być może, bo jakież dochód musi dawać samo bydło – takie rosłe, dorodne i tyle go! Który z nas na

3 włókach potrafi utrzymać tyle i takiego inwentarza? [...]

W rozmyślaniu takim szliśmy ku domowi Maszyna. Stała tu jego żona, kobieta inteligentna, widocznie światła, a bardzo miła i serdeczna [...]. Witamy ją wszyscy przez podanie ręki, bo w Czechach nawet kobiet w ręce nie całują. Jak równość – to równość! Zapraszają nas państwo Maszynowie do domu.

„Ho, ho!” – pomyśleliśmy, wszedłszy do czechskiej „chaty”. Kuchnia widna, czysta, ściany w niej wyłożone kaflami, barierki dokoła kuchni mosiężne i błyszczą od czystości; przeglądać się w tym można jak w zwierciadle. Gdyby tę kuchnię postawić bodajby obok kuchni w naszych dworach, to te nasze dworskie ze wstydu spaliłyby się chyba. Wchodzimy do pokoiów. Prawdę mówię, że do pokoiów! Bo w tym mieszkaniu czysto, że nigdzie

* Morga – około 0,56 hektara.

** Włoka nowopolska – około 16,8 hektara.

*** Wynagrodzenia w rosyjskiej administracji publicznej średniego szczebla wynosiły około 300–1000 rubli rocznie.



→ Božejovice, 1910.
Fabryka skrobi

kurzu, a tym bardziej błota. Wszystkie sprzęty świecą od czystości. Łóżka pokryte wzorzystymi okryciami, stół takąż serwetą kryty, przy stole krzesła stylowe, z miękkimi siedzeniami; podłogi malowane, [...] wysłane wzorzystymi chodnikami [...]. W mieszkaniu much nie ma, jak i w kuchni, bo raz, że tu jest czystość, a po wtóre, dla bydła żadna pasza nie jest tu przygotowywana. [...]

Po zwiedzeniu domu udaliśmy się do elektrowni gromadzkiej. Jest to właśnie ten budynek, który sobie wieś Loszany gromadą całą zbudowała, żeby w nim ustawić maszyny wytwarzające siłę elektryczną do oświetlenia, do młócenia i w ogóle do poruszania maszyn stale stojących w gospodarstwie.

Budynek elektrowni nieduży. Weszliśmy do niego. W jednej połowie stoi maszyna parowa do wytwarzania elektryczności, a w drugiej przyrządy do zatrzymywania w sobie wytworzonej siły. Urządzenie to dowcipne, gdyż motor działa tylko tak długo, dopóki nie wytworzy odpowiedniego zapasu siły elektrycznej, co pokazują znów inne przyrządy. [...] Każde mieszkanie ma światło elektryczne; nafty tu nie używają i kopcju jej nie znają ani w swych płucach, ani na ścianach. Dalej lampami elektrycznymi oświetlone jest każde podwórze. [...] Tak tu jest! Do tego doprowadziła drobnych rolników czeskich oświata i zrozumienie tego, że siła w jedności mądrej i solidarnej, tej,

która służy dobru ogólnemu. [...] Społeczeństwa mądre dążą do tego, żeby wszystkim było dobrze.

I nie tylko mają Czesi takie oświetlenie. Młóca także siłą elektryczną. Przeprowadzili tylko połączenie od głównego zgromadzacza i młocarnia obraca się, powiedziałbyś, siłą diabła, a w rzeczywistości samej siłą naturalną.

– Muszą być ci Czesi bogaci – powiesz, czytelniku – skoro wieś mogła wydać 10 tysięcy rubli na takie urządzenie?

[...] Wieś Loszany doszła do tego przez pożyczki, które gospodarze spłacają [...]. Zrobili to zaś nie jako ludzie, których stać na podobnego rodzaju zbytek, lecz jako dobrzy i oszczędni gospodarze; ta siła i oświetlenie elektryczne ostatecznie kosztuje ich taniej niż brudna nafta i siła koni.

[...] Zwiedzaliśmy potem gospodarzkę dwuhektarową. Właściciel jej ma trzy krowy, każda warta 200 rubli. Konia nie trzyma; orze krowami i zwozi z pola także krowami. Lecz nie robi tego w barbarzyńskich jarzmach, jak u nas jeszcze i dwory niektóre robią, tylko ma dla krów chomąta takie jak na konie, jeno lżejsze, z podkładkami, na piersiach spinane, tak że [...] krowie dobrze jest ciągnąć. [...] Pokazał nam dwie sztuki świń dobrze utrzymanych, ogródek nieduży, lecz schludny, na który wychodzi gnojówka. Mówił nam ten gospodarz, że szkoda mu jej, gdyż na pole powinno się ją wywieźć. „Ale trudno – powiada – nie mogłem

wszystkiego od razu urządzić. Teraz z kolei wymuruję studzienkę i z niej dopiero gnojówkę będę wywoził w pole”. Tak Czesi cenią swoją gnojówkę; wiedzą, że to jest najlepszy nawóz – złoto, które powinno być w pole wywiezione. A u nas co się z tym robi? – pomyślałem sobie... Ileż u nas gnojówki idzie do rowów na marne. A gospodarz na biedę narzeka! [...]

Zwiedzaliśmy szkołę wiejską. Dom piętrowy, wygodny. A patrzmy! Wieś Loszany ma 287 mieszkańców, szkołę zaś początkową posiada trzyklasową z oddzielnymi salami dla każdej klasy. Jest w niej trzech nauczycieli. A jakie tu pomoce naukowe dla dziatwy! [...] Nawet człowiek w przekroju i każda cząstka jego wnętrza oddzielnie, ażeby się dzieci zaznajomiły z budową ciała ludzkiego.

[...] Odjeżdżamy na powrót do Kolina, żeby stąd jechać do San. [...] Zbliżając się do owej wsi, pytamy znów siebie: miasteczko to czy nie miasteczko? Takie ładne i czyste. Domy w dwa szeregi, po obu bokach drogi, murowane, połączone ze sobą szczytami lub parkanami, także murowanymi; przy drodze dwa rzędy drzew – istna aleja. Sama droga bita, niby szosa, przy niej słupy, a na nich druty rozprowadzające elektryczność do oświetlenia. Pośrodku wsi kościół, a na drugim jej końcu „dom ludowy” imienia Rygra*... [...]

Przy pierwszym domu spotykamy jakiegoś człowieka starszego, uśmiechniętego; widać, że wesele ma w duszy. [...] Czecha onego wzięliśmy pod pachę i marsz do wsi!

Istotnie podziwu to godne. „Dom Rygra” jak pieścielko – mały, a taki ładny, a wewnątrz tak w nim czysto i dla oka miło, że pewno tu gospodarze czescy chętnie przychodzą na odczyty. Bo przecież dom umyślnie po to zbudowany [...]. Ty, bracie, to uważ i rozważ!... Gromada nie żałuje na budynek bodajże kilku tysięcy, żeby było miejsce pobierania nauki... dla starszych. Mądry ten, kto się przez całe życie uczy.

Takie myśli przychodziły nam, gdyśmy ten „Rygrów dum” oglądali. A zaraz za tym domem szopa na narzędzia i maszyny spółkowe. Widzieliśmy tu dwie wielkiego kalibru młocarnie poruszane siłą elektryczną [...]. Dalej widzimy tu dwa

siewniki rządowe, dwie żniwiarki, tryjer, pielnik – różne rzeczy i to wszystko za niewielką opłatą wypożyczają gospodarze miejscowi.

Opodal trochę, po drugiej stronie dość obszernego podwórza, stoi wysoki, dwupiętrowy budynek – to suszarnia cykorii. [...] Byliśmy wprost zdumieni. Jak to! Chłopi, rolnicy drobni, taki wielki interes prowadzą i taką fabrykę zbudowali spółkowo, w zjednoczeniu swych sił i pieniędzy! Chodziliśmy po owej suszarni, po wszystkich jej piętrach, a myśleliśmy: mądre chłopcy czeskie, dla nich kapitalista czy pan wielki (bogaty) to furda – oni są panami [...]. Gromada – to wielki i bogaty człowiek!

[...]

U nas znacznie się czasem to lub owo – jakieś kółko, jakaś biedowina sklepik z pieprzem, z solą i naftą, a i to lichy bierze. A tam fabryki duże, elektrownie i tym podobne rzeczy wielkie powstają i idą... Moim zdaniem różne są tego przyczyny. Jedna, że u nas chłop jest jeszcze na ogół ciemny i nie rozumie tego, że uczciwa, rozumna, a wytrwała praca ludzi w spółkach – ma takie samo, a nieraz większe znaczenie dla ogółu niż sama praca w pocie czoła na zagonie. [...] W Czechach [...] chłopci sami mają tę ideę wielką, że trzeba iść naprzód i tworzyć, że trzeba w spółce pracować, że całą siłą trzeba się przyczyniać do jej rozrostu w każdej okoliczności i każdym postępkem swoim. [...] Wieś Sany ma swoją własną kasę według systemu Rajfajzena**. Starszy nauczyciel tutejszej szkoły wiejskiej jest głównym kierownikiem, a przynajmniej jedynym pracownikiem tej kasy. [...] Zarząd jest na miejscu – raz na tydzień się schodzi na godzinę lub nawet pół godziny, jednemu przyzna pożyczkę, drugiemu odmówi, a nauczyciel zapisze, co potrzeba – w godzinę, dwie. Za to pobiera około 80 rubli rocznie, a kasa ma obrotu [...] przeszło 24 tysiące rubli.

U nas pod tym względem bywa pono inaczej! Od biurokratów nauczyliśmy się takiej biurokracji, że w naszych kasach częstokroć niewiele więcej jest nad ową biurokrację. Towarzystwo pożyczkowe – bywa – ma 12 tysięcy obrotu, a opłaca zaraz i buchaltera, i pisarza, i sam zarząd nieraz bierze ładne wynagrodzenie. [...]

* František Ladislav Rieger (1818–1903) – czeski polityk konserwatywno-narodowy, członek stronnictwa staroczechów.

** Friedrich Wilhelm Raiffeisen (1818–1888) – niemiecki działacz społeczny i pionier kooperatywności, twórca spółdzielni pożyczkowo-oszczędnościowych.

Muszę Wam też, bracia, powiedzieć, że w Sanach jest sklep z towarami lokciowymi i jest miejscowy fotograf, który się utrzymuje wyłącznie ze swego zawodu, więc się tu widocznie chłopci i ich dzieci fotografują i mają na to, i odczuwają potrzebę tego.

Mamy się już ku wyjściu ze wsi, kiedy któryś z nas zobaczył przybitą u domu skrzynkę pocztową... [...] Stanęliśmy i na ową skrzynkę patrzymy, jako na dziwo jakie, że aż nasz przewodnik – Czech – patrzy na nas i myśli: jakby jakie dziwo Polacy zobaczyli – skrzynkę pocztową! I może się w duszy z nas śmiać? A nam nie było na śmiech. Myśmy się dziwili, że skrzynka pocztowa jest na wsi.

Wiadomo ci, bracie, jak ty musisz sam wędrować po listy i gazety na pocztę, gdzie ci ich nie oddają, tylko odsyłają do gminy, a w gminie różni ciekawi listów wywachuują, co jeno mogą, a gazety pomiętoszą i oddają ci je, kiedy ich łaska. Chyba że żyjesz w przyjaźni ze stójką, czasem wstąpisz z nim na „jednego” albo wetkniesz w łapę i to – bywa – po 5 albo i 10 kopiejek od gazety. A tu ci, bracie, sam urząd pocztowy od razu wszystko do wsi przywiezie, a co masz do wysłania w świat, to wrzucasz do tej skrzynki, skąd sługa pocztowy sam to zabiera i odwozi lub wysyła, dokądeś zaadresował.

Brak udogodnienia pocztowego u nas dla wsi jest wielkim hamulcem rozwoju: ludzie pisaliby do siebie więcej, a przede wszystkim odbieraliby więcej gazet i czytaliby ich więcej – słowem, uczyliby się i kształcili, gdyby mieli dogodnie za pośrednictwem poczty połączenie ze światem. [...]

Ze wsi Sany powróciliśmy do miasta Kolina około godziny 16.00. Z dworca udaliśmy się prosto do hotelu [...]. Musieliśmy w Kolinie zanocować, a że przewodnik nasz pragnął, żebyśmy się w Czechach nauczyli jak najwięcej, więc prosi starostę, by nam pozwolił zobaczyć szkoły w Kolinie. [...] Poszliśmy. Uprzejmy, chętny dyrektor zaprowadził nas najpierw do szkoły, którą sam zarządza. Jest to szkoła „miejska”. Oznacza to w Czechach, że w szkole takiej uczą się dzieci, które ukończyły już szkołę podstawową, teraz uczą się dalej, a oprócz tego i rzemiosł, i handlu. Takie szkoły są tu osobno dla dziewcząt i osobno dla chłopców. [...]

Szkoła [...] posiada kilkunastu nauczycieli, ma obszerne sale wykładowe, ma zbiory do nauki fizyki, chemii itp. Widzieliśmy tu sale

warsztatowe dla ślusarzy i stolarzy; widzieliśmy piękną bibliotekę i mnóstwo obrazów, pomagających młodzieńcowi zrozumieć to, co ma wykladać. Szkoła ta – to istny pałac [...]. Oprowadzający nas dyrektor oznajmił, że ma z górą 140 uczniów, co dzień przychodzących lub przyjeżdżających z pobliskich wsi (nawet o 14 wiorst) koleją. Który z ojców nie może zostawić chłopaka na gospodarstwie, posyła go do owej szkoły „miejskiej” i tym sposobem bardzo tanim kosztem, bo szkoły te są bezpłatne, daje synowi naukę i chleb w rękę. [...]

Przechodzimy obok jednego i drugiego gimnazjum, około szkół dziewczęcych – pełno tego. Pytamy tedy naszego szanownego przewodnika: ilu mieszkańców liczy Kolin?

– Około 17 tysięcy – była odpowiedź.

– A ilu ogółem nauczycieli ma Kolin? – pytamy znowu.

– Wszystkich: ludowych, miejskich, w gimnazjum i w szkołach żeńskich – mamy tu ogółem 160 osób nauczających.

Tu pan Malinowski zapytał towarzysza naszego, pana Koczare, który mieszka pod Pułtuskim: ilu w tym mieście jest mieszkańców i ilu nauczycieli? I okazało się, że i Pułtusk ma blisko 17 tysięcy mieszkańców, więc tyle prawie, co Kolin, a nauczycieli? – wszystkich: w gimnazjum męskim i żeńskim oraz w szkole początkowej – razem ma – 18!... [...]

W smutnej zadumie [...] skierowaliśmy się za przewodnikiem naszym w boczne ulice Kolina, aby dojść do miejscowego spółkowego składu i śpichrza, do tak zwanego *Hospodarzkiego druzstwa*. O tych „druzstwach” czeskich [...] czytaliśmy już niemało [...]. Teraz mieliśmy tu oglądać na własne oczy. [...] Zarządzający jego udzielał nam wszelkich objaśnień.

– Nasze „druzstwo” – mówił – stanowią gospodarze drobni z całej okolicy Kolina. Było to w roku 1897. Zebrało się wtedy 51 rolników [...]. Postanowili, że wkłady nie będą duże [...]. Skoro tylko rolnicy zwiążą się w spółkę, to deklarują zaraz, że odpowiadają swoim majątkiem albo całkowicie, albo do pewnej wysokości. Na taką odpowiedzialność, oczywiście, kasy pożyczkowe i fabryki lub składy chętnie udzielają kredytu i dzięki temu właśnie „druzstwo” kolińskie mogło rozporządzać nie tylko towarem, ale i gotówką. Zaraz w pierwszym roku swego istnienia [...] mieliśmy 112.422 korony obrotu, a czystego zysku tysiąc koron. Ale to był rok pierwszy. Później stale



← Szkoła w Miličíně

przybywało członków i obrotu. W roku zeszłym, 1907, mieliśmy członków 1434 [...]. Obrót pieniężny tego roku uczynił sumę 1.368.706 koron (czyli 545,5 tysiąca rubli).

Przyznam się, że kiedyś słyszał te cyfry i kiedyś pomyślał, że taki obrót na kilku zaledwie przedmiotach zrobili drobni rolnicy z okolicy Kolina, tyle, co okolicy całego naszego na przykład Łowicza – to wierzyć mi się nie chciało. Ale ten wielki wprost śpichrz i to, cośmy tu na własne oczy widzieli – w workach leżące: superfosfat, kinit, kukurydzę, makuchy, melas suchy i tym podobne, przekonywały przeciw naszemu, że to wszystko prawda. [...]

I nie tylko, że drobni tutejsi rolnicy przez spółkę swoją sprowadzają wymienione przedmioty, omijając pośredników; oni dostają towar pewny. W roku zeszłym zarząd spółki poddał sprawdzeniu 113 próbek nawozu sztucznego. [...] I okazało się, że nadużycia lub oszukaństwa ze strony sprzedającego nie było ani razu. A tak! Bo nabywca – spółka to nie nabywca jakiś chudziak chłopina, co bierze od handlarza woreczek „popiołu” [...]. Albo [...] korzystanie z kredytu. U nas gospodarz drobny musi płacić gotówką i za nawóz sztuczny, i za ziarno siewne, bo kto go zna, kto za niego poręczy? U nas często właściciel folwarku dostaje kredyt, zwłaszcza od czasu, jak jest

członkiem Towarzystwa Rolniczego, [...] a chłop, w rozproszeniu działający, płaci gotówką, a jak nie masz, to zapuszczaj ziemię. [...]

Tak to tu zarząd spółki działa i pracuje dla drobnego rolnika, nie zaś, żeby zjednać lud, iżby swego pana prezesa wybierał na posła... Tu chłop, przybywszy do składu, nikomu się nie kłania, nikomu nie czapkuje (o całowaniu w rękę – rozumie się – i mowy nie ma), a każdy mu uczciwie służy i radzi, i pomaga, bo to po swojemu... Od takiej roboty jest też i pożytek dla ludu, dla narodu. Łzy cisną mi się do oczu, gdy pomyślę, że u nas zakładają spółki, jeno nie z pożytkiem dla włościan. [...]

Nazajutrz żaden z nas nie spóźnił się, wszyscyśmy na czas stanęli na dworcu kolejowym. Wypiliśmy tu gorącego mleka, zjedliśmy po parę bułek i... do wagonu. Maszyna gwizdnęła, koła zadudniły, jedziemy... tym razem prosto do miasta Olomuńca, leżącego już na Morawach. [...]

Ładne i czyste miasto, ale [...] na każdym kroku spotyka się tu wojsko, mówiące tylko po niemiecku, a skutkiem tego na ulicach i w sklepach niemieczyzna panuje. [...]

Stanęliśmy nareszcie na dworcu w Wyszкові; czekał tu już na nas dzielny, wesoły, a pełen szczerą dla nas, Polaków, przyjaźni, Zdenek Gajer, zarządzający miejscową szkołą rolniczą zimową dla synów drobnych rolników. [...] Jest u nas



→ Rynek w Wyszowie
na Morawach, 1911

nad Bugiem (w powiecie pułtuskim) Wyszków; jest i na Morawach. [...] Ale ten Wyszków – myślimy sobie – wcale niepodobny do naszego nad Bugiem! W naszym brudno, ściekami spływają smrodliwe nieczystości, w zaułkach, w sieniach, w sklepach i sklepikach brudy aż kwasem jakimś biją w nos przechodnia... A tu – wszędzie czysto, ścieki płyną kanałami pod ziemią, jak to jest u nas w Warszawie, bo nawet nie w każdym naszym mieście gubernialnym; ulice wszędzie oświetlone latarniami gazowymi, tu i ówdzie w oknach widać nawet światło elektryczne... Domy, czasem paropiętrowe, o dużych oknach, sienie czyściutkie, malowane... Słowem – widzi się tu wszędzie wzorowy porządek świata cywilizowanego, gdy nasze miasteczka – to obraz nędzy, niechlujstwa, błota, że się w nim jeno nierogaczka czuje zadowolona. A ten Wyszków morawski ma tylko 6 tysięcy mieszkańców [...].

Na samym wstępie do miasta uderzył nas widok wspaniałego, wielkiego gmachu narożnego. Myśleliśmy, że to może budynek przeznaczony na jakiś wielki bank, a może to nadzwyczajne piękne koszary, a może jakieś krajowe biura monopolowe... Takeśmy sobie myśleli, ale Gajer mówi nam:

– Panowie! Nasze miasto Wyszków za pożyczone pieniądze wybudowało sobie tę oto szkołę „miejską”. [...]

Usłyszawszy to i popatrzawszy na budynek, naprawdę szeroko otwieraliśmy oczy. Sześciotyścienna miejscina zdobyła się na taką szkołę dla swych dzieci! Ba! Zdziwiliśmy się jeszcze bardziej, gdy nam Gajer pokazał drugi wielki narożny budynek i powiedział:

– Nasze miasto Wyszków i włościanie najbliższej okolicy razem założyli tu dla swych dzieci gimnazjum 8-klasowe i zbudowali ten oto budynek. [...]

Nie dziwże się teraz, bracie, że kultura stoi na Morawach bardzo wysoko. [...]

Rano po śniadaniu [...] wyruszyliśmy z Wyszkowa na wieś. [...] Okolica falista. Wszędzie piękne jęczmiona już wykoszone. Przyglądamy się wszystkiemu. Widzimy, że nie ma tu innego siewu, jak rzędowy. [...] Spotykaliśmy takie kawalki, że ich nie można było zorać, tylko łopata skopać, a i to zrobiono, żeby korzyść osiągnąć. To się nazywa gospodarnością i pracowitością! Dlatego pewno i chleba tu dostatek. Drogi są dość rzadko wysadzone drzewami owocowymi i z tego ludzie mają dochód.



Dochodzimy nareszcie do pierwszej wsi, Krzyżanowic. [...] Zaczęły się jakieś nieużytki, wyrwiska, gołe łysiny pagórków... Coś nas jakby niemile uderzyło. Jak to? Tu, na Morawach, takie doły i nieużytki? Ale tego było niewiele. Weszliśmy bowiem w piękny młody sad, bardzo wzorowo, w regularne linie, drzewo od drzewa o jakieś 30 łokci, założony. A pod drzewami bujna koniczyna, gdzieniegdzie kartofle, to znów szmat buraków. Ogromnie miłe wrażenie robiło to pole [...]. Weszliśmy na wzniesienie, a pan Gajer począł opowiadać:

– Panowie! Przed pięcioma laty był tu taki sam nieużytek i takie same wyrwiska, jakieście widzieli tam przy samej wsi. Gospodarze krzyżanowiccy powiedzieli sobie, że to tak dalej być nie może [...]. I oto na owych nieużytkach założyliśmy ten sad [...]. Mieliśmy wiejskie nieużytki, a nie mieliśmy z nich korzyści. Teraz co innego. W roku bieżącym z samych drzew spodziewamy się kilkaset koron dochodu, a koniczyna, buraki i ziemniaki dadzą nam doskonałą paszę – dochód w pieniądzach. Buraki sprzedajemy już od paru lat i ubierało się tyle, że w tym roku kupujemy gromadzkiego buhaja i jeszcze coś zostanie.

– Koniczyny starczy na paszę dla niego, z pieniędzy zaś będzie na owies i na obsługę, więc oto z dawnego nieużytku mamy dziś dużą korzyść. A będzie ona coraz większa z roku na rok. Starczy i na bibliotekę, i na straż ogniową miejską! [...]

Staliśmy [...], rozglądając się po całej przestrzeni nieużytków, a dziś wspaniałego sadu i pola uprawnego. Głęboka zaduma myśl naszą objęła... Gospodarze wsi Krzyżanowice, a jest ich razem szesnastu, wspólne nieużytki zamienili na pola o wysokiej kulturze, dochód dające. To jeden czyn mądry. A drugi mądry, że wspólna własność nadal pozostała na wspólny użytek, na taki użytek, który wprowadza postęp w całość gospodarki wsi. Nie rwą tu więc dochodu ze wspólnej własności sposobem nieokrzesanego, głupiego chciwca. To nie tak jak bywa u nas, że pieniądze otrzymane z dzierżawy polowania lub czego innego każdy chwytą do własnej garści, by je albo przepić, albo w najlepszym razie do skrzynki schować, jak kruk chowa do dziury znalezione świecidełko... [...]

Przydałby się nam był odpoczynek [...], ale chodźmy wpierw do śpichrza spółkowego [...]. Idziemy do Zarządzającego z prośbą, by nam objaśnił szczegółowe urządzenie śpichrza. Przystanął przy małej maszynie, na której robią próby wartości zboża. Ciekawiśmy byli tego, więcśmy kołem stanęli przy Zarządzającym, a on nam opowiada, że jak tu gospodarz przywiezie zboże, na przykład jęczmień, to biorą z niego 10 funtów na próbę i na tej maszynie oceniają, ile w tej próbce jest ziarna pierwszego, drugiego i trzeciego gatunku. [...]

Dopiero tam, gdzie gospodarz przez własne swoje spółki jest wytwórcą i sprzedawcą, może być sprawiedliwym dla siebie płatnikiem. [...]

Ze śpichrza spółkowego poszliśmy zwiedzać wnętrze [...] szkoły miejskiej [...]. Oprowadzał nas po niej pan Franciszek Wrtilik, główny kontroler miejscowej kasy oszczędnościowo-pożyczkowej. [...] Pokazywał nam wszystkie sale – a to jakby sale w pałacach najzamożniejszych panów. I wytłumaczył nam, że tym możliwym panem jest gromada miasta Wyszkowa, że ona to na uczelnię dla dzieci swych zbudowała ten pałac i te piękne w nim sale z oświetleniem elektrycznym, z centralnym ogrzewaniem, i te rozbieralnie dla uczniów, sale do zabaw w porze słotnej, sale do zbiorów naukowych i kuchnie dla uczniów ze wsi... Gmach ten kosztował 420 tysięcy koron (168 tysięcy rubli). Fundusz ten miasto pożyczyło [...] na 4,5 procent,

splacać go będzie przez lat 50. Przez lat tyle nie odczują tej splaty rodzice, a dla dzieci mają szkołę natychmiast... A nie było tu nikogo, kto by powiedział: ja dzieci nie mam, to płacić nie będę! Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego niosą tu pomoc. Wyższa kultura wyrugowała z ludzi ciasne a niemądre sobkostwo.

Z tej szkoły udaliśmy się do [...] gimnazjum prywatnego o 8 klasach, w których się uczy 232 uczniów. [...] I oto tu dopiero mieliśmy sposobność oglądać... plamy na słońcu! Profesor fizyki pokazał nam dużą lunetę i rzecze: jeżeli panowie Polacy ciekawi, to wyjdziemy na podwórze i przez tę lunetę zobaczymy plamy na słońcu, a wieczorem przyjrzymy się gwiazdom.

W kraju naszym takie rzeczy gdzie chłop może oglądać? A w małej mieścinie Wyszkwowie są wszelkie pomoce dla młodzieży i dla starszych, że tu prawdziwe dziwy potężnej przyrody oglądać i rozpoznawać każdy może.

Jeszcze [...] o kasie pożyczkowej, której głównego kontrolera, pana Wrtlika, poznaliśmy. Kasa to nie byle jaka. W roku 1907 miała blisko 17 milionów koron, czyli bez mała 7 milionów rubli obrotu. [...] A któż zarządza tą kasą? [...] Gospodarze, rolnicy, włościanie, wójtowie [...] stanowią zarząd i radę nadzorczą [...], a dopiero urzędnicy jej – to ludzie fachowi i rachmistrze, składający kaucję... Tak bywa, bracia, tam, gdzie chłop rolnik ma oświatę i gdzie już jest, co się zowie, obywatelem kraju! [...]

Kto jedzie na Morawy, żeby zbadać stan gospodarstw chłopskich, powinien być w Kromierzyżu, bo tu skupione są te zakłady naukowe, które właśnie drobnego rolnika wyrabiają na samodzielne, rozumne kierowniki gospodarstwa. [...] A szkoły owe nie kształcą ekonomów, pisarzów lub pomniejszych urzędników, ale właśnie rolników drobnych.

[...] Stajemy w Kromierzyżu, mieście, jakby nasz Łowicz [...]. Idziemy tedy trochę za miasto, aż się tu nam ukazuje kilka wspaniałych piętrowych budowli, jedna od drugiej niezbyt odległa.

– To właśnie nasze szkoły rolnicze dla drobnych rolników – objaśnia nas Gajer – szkoła rolnicza dla synów włościańskich, szkoła „hospodyńska” dla córek i ich szkoła maślarska.

[...] Najpierw wstąpiliśmy do szkoły maślarskiej i serowarskiej zarazem.

[...] Ciekawa to rzecz i nauka była dla nas, że chcąc dziś wyrób serów traktować jako przemysł

dający dochód, trzeba je nie tylko wyrabiać, ale jeszcze poddawać właściwej fermentacji. [...] Każda gomółka sera leży tu w osobnym, szczelnie zamkniętym przedziale, w każdym z nich jest różna ciepłota, a szczelność zamknięcia jest po to, żeby bakterie jednego gatunku nie przedostawały się do innego i nie psuły właściwości fermentacyjnych tamtych. W przemyśle maślarskim i serowarskim [...] to rzecz wielkiej wagi. My o tym jeszcze pojęcia nie mamy!... [...]

Kiedyśmy skończyli zwiedzanie [...], idziemy na jakiś róg do jadalni i od razu siadamy. Należało się to nam.

Pan Gajer [...] rzuca jakąś monetę do wielkiego samogrającego instrumentu i ten nam gra, aż miło – najpierw pieśń narodową czeską *Hej Słowianie*, potem różne inne. Odzywa się też gramofon; gra nam różne pieśni, a potem zaczyna mowę – prawdziwie, maszyna „mówi” ludzkim głosem i to mówi mądrze: żeby człowiek był rozumny, uczciwy, żeby się jednoczył w spółki, żeby koniecznie popierał Macierz Szkolną. A wreszcie kończy: „Bo kto skąpi na cele narodowe, tego wielcy mężowie czescy [...] – Palacki, Rygiel, Hawliczek i inni na tamtym świecie strąca do piekła – takiemu będzie grom i piekło!...”, „mówił” ów gramofon.

Jaki to mądry naród czeski! – pomyśleliśmy – na każdym kroku, nawet przy zabawie, przypomina sobie o obowiązku względem Ojczyzny, względem narodu całego! Jak on solidarność narodową wyrabia!...

[...] Z radością wsiedliśmy do wagonu kolejowego, a jadąc, powtarzaliśmy sobie: więc teraz będzie wieś – Rzykowice. Ciekawiliśmy!

Jedziemy, wesoło rozmawiając lub śpiewając po polsku, a przyglądamy się polom i ludziom, którzy zbierali koniczynę lub ją zwozili.

Powiesz może, bracie – toż to było Boże Ciało, święto! Jakże mieli pracować w polu?... A jednak pracowali. Do południa są Czesi w kościele, a po nabożeństwie, o ile konieczna potrzeba, idą do roboty w polu, żeby dla świętowania plody rolne nie zostały zmarnowane. [...]

Gospodarze rzykowiccy widzieli, żeśmy do nich przyjechali dla nauki. Pokazywali nam tedy wszystko, co tę naukę mogło dla nas stanowić. A mieli [...] coś, jak dla nas, istotnie nadzwyczajnego, po prostu wielkiego.

Co robimy na naszej wsi polskiej, gdy się zdarzy rzeczulka albo strumień, co w czasie



↑ Czescy chłopcy w trakcie prac melioracyjnych

roztopów wiosennych rozlewa i całe łany rwie i zatapia? Ano, płaczemy na „dopust Boży” i kłęskę bez szemrania znosimy; a gdy pole wymoknie, gdy woda potworzy wyrwy i doły, to kłęski takiej bynajmniej nie przypisujemy sobie, jeno wodzie... Nawet gdy z zanieczyszczonych rowów w każdą wiosnę woda rozlewa i zatapia pola i łąki, to winę także przypisujemy wodzie, nie sobie. Tak bywa u nas, ale nie wśród gospodarzy czeskich.

Tuż za Rzykowicami była mała rzeczulka. A była to taka psotnica, że kiedy przyszła wiosna, a woda w niej przybrała, to już dla pól okolicznych, dla gospodarzy prawdziwa przychodziła kłęska; co najmniej kilkadziesiąt morgów tej wioski ulegało zniszczeniu; było zaś takich wiosek [...] kilka. Gospodarze rzykowiccy długo znosili kapryśność rzeczulki, aż powiedzieli sobie: dość tego! Zmówili się z wioskami, które od tych samych wylewów cierpiały, i [...] postanowili rzeczulkę na całej jej długości wyprostować i obwałować. U Czechów od rady i słowa do czynu blisko. Jakoż [...] sprowadzili sobie inżyniera, który sporządził plany i kosztorys, i oto kosztem półtrzecia miliona koron całą długość rzeczulki uregulowali: gdzie

potrzeba, koryto wyprostowali, gdzie wypadło, pogłębili je, obwałowali, pobudowali doskonałe mosty betonowe [...]. Wały po obu stronach usypali na jakieś 4 łokcie! Na nich w dwa rzędy zasadzili drzew owocowych i teraz woda szkody im nie robi... [...] Starosta na zadane mu pytanie w tym względzie odpowiedział nam:

– Cały objęty zarysem koszt wykonania robót przy uregulowaniu tej rzeki, po naradach gospodarzy wsi, które przy tej rzece leżą, postanowiliśmy rozdzielić na trzy części. Jedną trzecią część złożyliśmy wszyscy [...] gospodarze drogą podatku z morgi zalewanego pola i tę swoją część spłacamy ratami rocznymi. [...] Drugą trzecią część wyjednaliśmy sobie jako zapomogę od sejmu krajowego w Bernie, bo przecież na to płacimy podatki krajowe, żeby w razie potrzeby mieć z tego pomoc i korzyść. Ostatnią wreszcie część [...] wydusiliśmy od parlamentu w Wiedniu z ogólnych podatków państwowych, bo i do Wiednia, czyli do centralnego rządu, na to właśnie podatki płacimy, żeby w potrzebie żądać pomocy. Oczywiście, że jak krajowi, tak i parlamentowi oddawać nie będziemy. Rząd i kraj przez włożony w poprawę

rolnictwa wkład tę osiąga korzyść, że zamożniejsza ludność jest lepszym płatnikiem podatków, że ulepszona ziemia więcej wydaje, a to jest siłą materialną kraju. [...]

Po tak pracowitej prawdziwie wędrowce udaliśmy się wreszcie do *hostińca* [gospody] na posiłek. [...]

Przemawiał Gajer, a i w nas kilku dusza się obudziła i wytrysła serdecznym przemówieniem o potrzebie jedności ludów, zwłaszcza pobratymców, jak my z Czechami. Mówili nasi, że oto pierwszy raz lud polski zapoznaje się z ludem czeskim, co oby się stało pożytecznym dla obu narodów.

Przemówienia te trwały długo, a stawały się coraz serdeczniejszymi. Było nam dobrze, było przyjemnie, że tak oto lud z ludem się brata. W umysłach naszych zrodziła się nowa, jak na chłopa polskiego, myśl, że jednoczyć się nam trzeba nie tylko we wsi, nie tylko w gminie, nie tylko we własnym kraju, ale i z dalszymi ludami. Taka jedność, na wzajemnej życzliwości i dopomaganiu sobie oparta, jest właśnie w duchu Chrystusowym i... z potrzeby naszych czasów... [...]

Z Rzykovic do miasta Przerowa przyjechaliśmy przed zachodem słońca. [...] Udaliśmy się [...] do parku miejskiego, [...] pełnego pięknych drzew, kwiecica i „dywanów” kwiatowych. Wpuścili nas tu, choć byliśmy w butach i sukmanach, bo tu człowiek człowiekowi jest równy [...]. Rozumie tu społeczeństwo, że ludowi trzeba dostarczać rozkoszy ducha. [...] Po godzinnym wypoczynku, a następnie posiłku w jadalni, poszliśmy spać, żeby nazajutrz raniutko pojechać do wsi Przykaz, ostatniego punktu naszej podróży po Morawach. [...]

Dworzec kolejowy stoi tu trochę opodal wsi, a że paru z nas z Gajerem zostało [...] do następnego pociągu, więc siadamy sobie w rowie, [...] rozglądamy się po polach, po uprawnych roślinach [...].

Doczekaliśmy się wreszcie swoich i gromadą idziemy do wsi. [...] Nie wyziera z niej bieda, jeno dostatek; ludzie mieszkają tu po ludzku, przestronnie, wygodnie. Widzimy urząd pocztowy i nawet telegraf, obok zaś „radnicę”, czyli [...] urząd starosty wiejskiego. [...]

Około „radnicy” jest w Przykazach *hostińiec*. Wstąpiliśmy do niego [...].

Tak się naprędce przyglądaliśmy wszystkiemu, gdy Gajer naradza się z prezesem miejscowej spółki hodowlanej [...]. Mówi nam wreszcie:

– Panowie, zaprasza nas do siebie pan Franciszek Kropil, gospodarz tutejszy. [...]

Kropil, chłop rostry, silny, widocznie że w dobrym bycie, bardzo uprzejmie otworzył nam drzwi swego podwórza i zaprosił do środka. [...] Weszliśmy najpierw do obory. [...] Krowy wyglądają pięknie, skóra na nich błyszczy, oczy mają łagodne i wesołe, od ludzi, nawet gdy byliśmy gromadą, nie wracają się z bojaźnią. [...]

W stajni znaleźliśmy 4 konie... robocze, tęgie, na mocnych, grubych nogach, nie jak u nas przeważnie cienkonogie, delikatne, mieszane z arabami. [...] Od roboty takimi końmi ziemia dobrze się sprawi.

Ze stajni wkroczyliśmy do chlewu [...]. Chlewy czyste, wybielone, posadzka i przegrody cementowe. Zastaliśmy w kojcach 3 maciory, 2 karmniki i 21 młodzieży. Takich macior jeszcze w życiu nie widziałem, chociaż widział niemało. [...] Potwornej wielkości!... W chlewach jest także kran z wodą, którą posadzka i kojce dla większej czystości co dzień bywają dokładnie zmywane. Świnie także są myte raz na tydzień wodą i szczotkami ze słomy ryżowej... Tak, tak, bracie! [...]

Poprosił nas gospodarz, byśmy zwiedzili jego dom. Służba jadła właśnie obiad dla chłodu na podwórzu, pod domem, a siedzieli przy stole wszyscy – i gospodyni [...]. Po schodach weszliśmy na górę, gdzie najpierw wpadła nam w oczy komora z odzieżą służby. Mają jej dostatek i nie biedoty. Weszliśmy następnie do dużej komory pod dachem. Tu właśnie stał ów zbiornik do wody, którą z dołu do góry wtlacza pompa ssąco-tłocząca, wprawiana w ruch siłą elektryczną. Ze zbiornika tego rozchodzi się woda rurami do kuchni, do obór, do chlewów, a na wypadek pożaru jest jeszcze kran w podwórzu.

Obok zbiornika z wodą widzimy... wannę. Więc się tu domownicy kąpią nie tylko raz do roku w rzece, ale, jak można, co tydzień, a najrzadziej co miesiąc. We własnym domu mają wannę! Kiedyż to się zobaczy w moim drogim, kochanym kraju, wśród bratniego mi ludu wiejskiego?! Westchnąłem na tę myśl, a spostrzegłem, że uczynili to i moi towarzysze [...].

A na środku tej komory stał śrutownik. Kropil włożył na koło pas, drutem połączył koło z siłą elektryczną i zaczęło się ono poruszać, zaczęło mleć, a gospodarz stał, jak pan, co rozkazuje, a ujarzmiona siła piorunowa miele...

Spostrzegliśmy obok jakiś mały przyrząd, mocno wmurowany w ścianie. „Co to?” – pytamy. Zagadnięty gospodarz inny pas nałożył na koło przy tym przyrządzie, złączył go z drutem elektrycznym i zawarczało coś, zachrupotało z wielką siłą. Wszyscyśmy się rzucili oglądać. I okazało się, że do owego przyrządu gospodarz wrzucił trochę kości, które zęby maszyny schrupały, a potem zmełły prawie na mąkę.

– Do czego to? – pytamy.

– Kury tym pasiemy – odpowiedział nam Kropil.

Pokiwaliśmy głowami. [...]

Oglądanie wszystkiego [...] sprawiło, żeśmy się czuli zmęczonymi, [...] więc [...] skierowaliśmy się do hostińca na posiłek.

W podróży, zwłaszcza takiej, jakąśmy odbywali – człowiek żyje trochę inaczej niż w domu. Staje się sprężystym, bieglejszym w swoich myślach i każdą chwilę stara się wyzyskać. [...] Zanim podano nam obiad, jedni rzucili się do notatników, by zapisać, co kto godnego uwagi spostrzegł, żeby o tym później, po powrocie do domu, swoim opowiedzieć, a drudzy zabrali się do pisania listów [...]. Niejeden zaś na pewno, pisząc do żony, do brata lub ojca, zaczął od słów „takie oto bydło i świnię ma ogół tutejszych gospodarzy wiejskich!”. Przyznam się, że ja tym razem listu nie pisałem, jeno sobie notowałem, bo Malinowski wciąż mi do ucha kładł: „Teofilku, notuj, bo musisz zdać szczegółowy rachunek swoim braciom!”. Obowiązek ciężki, ale że miły, więc... notowałem. [...]

Zasiedliśmy do stołów, żeby spożyć obiad. Dano nam [...] wyborny gulasz. Zmiotamy go z talerzy, chlebem zagryzamy i piwem popijamy, choć paru z nas, piwa się wyrzekłszy, wodą popijało, zdrowiej się od tego czując. Mają słusność.

Posilamy się tak, a rozmowa na chwilę nie ustaje. Rozmawiamy ze sobą: czym się dzieje, że w takiej wsi, jak Przykazy, nie jeden, nie kilku gospodarzy, ale wszyscy oni – ba, cały ogół ludzi, bo i kobiety, zarówno dążą do lepszej gospodarki rolnej i społecznej? [...]

– A patrzcie – odezwał się któryś z nas [...] – patrzcie na tę ilość gazet rozwieszonych na ścianie! Jak tu ludzie dużo czytają i wszystko czytają! Wszyscy się uczą, rozwijają, przez czytanie nabywają rozumienia spraw społecznych, nabywają świadomości, co i jak robić należy, i robią!... Wszyscy czytają, ogół też robi! Nie ma tu „mądrali”

głupich, nie ma uporu koźlego; wstydziliby się taki zaprzeczyć korzyści z dobrego; wstydziliby się zaprzeczyć prawdy oczywistej, co u nas zdarza się wszędzie. [...]

Miało się już ku wieczorowi. Zbliżała się godzina odejścia pociągu, trzeba się więc było szykować do drogi. Zgromadziliśmy się więc [...] na pożegnanie się z przykazanami i z dzielnym Gajerem, bo stąd mieliśmy się już rozjechać; my do swoich domów, a Gajer do Wyszkowa. [...]

Wsiadliśmy do wagonu. Pociąg ruszył. Myśmy czapkami posyłali przykazanom pożegnanie: *na zdar!* do widzenia! Oni nam czynili to samo.

Pociąg mknął, a nam się robiło coraz smutniej. Mieliśmy się wszak żegnać ze sobą, a takeśmy przyjemnie spędzili tych 12 dni wycieczki! Na zawsze zostanie nam ona miłym wspomnieniem! [...]

Jadąc, rozmyślaliśmy nad wszystkim, cośmy widzieli, i nad tym, co w kraju własnym zastaniamy. Przygnębienie nas opanowywało... Możeć się u nas zmieni na lepsze? Nadzieją żyjemy, a rąk nie opuszczamy.

Niektórzy z nas jechali przez Trzebinę prosto do Warszawy, [...] ja, jako wygnaniec, wracalem pod Kraków [...].

Z okien wagonu na stacji Oświęcim widzieliśmy już bardzo wielu robotników galicyjskich, którzy z tobołkami, zbiedzeni, marnie wyglądający, jechali tędy w świat na – saksy.

I Czesi wędrują dla chleba na obczyżnę, ale pono nie jako robotnicy, nie jako „bydło robocze”, ale jako rzemieślnicy albo majstrowie fabryczni.

Różnica to wielka!...


Teofil Kurczak

WYBRAŁ I PODAŁ DO DRUKU

Jakub Jakubaszek

ŹRÓDŁO: Teofil Kurczak, *Pierwsza wycieczka włóścian polskich do Czech i na Morawy w r. 1908-ym*, Warszawa 1909.

Dziękujemy Adamowi Lutogniewskiemu za wskazanie redakcji „Karty” wspomnień Teofila Kurczaka.



Jakub
Jakubaszek

W 1903 roku grupa ziemian z Królestwa Polskiego udała się na wycieczkę do Danii. Za przedsięwzięciem stała Sekcja Rolna warszawskiego oddziału Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu – założona w 1890 roku, pierwsza po blisko trzydziestu latach legalna organizacja zrzeszająca właścicieli majątków ziemskich w Królestwie. Celem wycieczki było możliwie kompleksowe zapoznanie się z organizacją duńskiego rolnictwa, którego dominująca pozycja w gospodarce narodowej i ekonomiczna wydajność musiały wydawać się niezwykle atrakcyjne orędownikom reformy nadwiślańskiej wsi w duchu nowoczesnego kapitalizmu. Wycieczka przyniosła wiele odczytów, które po powrocie do kraju mieli okazję

wygłosić jej uczestnicy. Zebrane w całość, ukazały się drukiem w książce *Stosunki rolnicze w Danii* (Warszawa, 1906).

Pięć lat później, 9 czerwca 1908, 42 królewiackich chłopów (w tym 33 małorolnych) wyruszyło pociągiem do Czech. Towarzyszył im Maksymilian Malinowski, redaktor radykalnego „Zarania” – młodego czasopisma dla ludu, które swą linię programową podporządkowało idei chłopskiej samodzielności. Powodem wyjazdu była imponująca (30 wielkich pawilonów i 130 mniejszych obiektów na obszarze około 7 kilometrów kwadratowych) Wystawa Izby Handlowej i Przemysłowej w Pradze, otwarta 14 maja. Urządzona pod pretekstem sześćdziesięciolecia panowania cesarza Franciszka Józefa, wystawa ta stanowiła rodzaj manifestacji politycznej czeskiego ruchu narodowego i zyskała międzynarodowy rozgłos. Liczbę samych tylko polskich gości szacowano na 9–10 tysięcy.

Wycieczki tej nie da się zrozumieć w pełni, nie odnosząc się do idei XIX-wiecznych wystaw. Skromne i pełne przepychu, rolnicze i przemysłowe, globalne i prowincjonalne – stanowiły one manifestację ekonomicznej potęgi imperiów kolonialnych, ilustrację dokonującego się postępu technicznego i społecznego, przestrzeń promocji towarów i marek, okazję do zawierania kontaktów handlowych i zdobywania wiedzy. Pierwszą z tych wielkich – zwanych światowymi – otwarto w 1851 roku w Londynie, w specjalnie zaprojektowanym do tego celu Pałacu Kryształowym.

Na początku XX wieku wystawy odbywały się – mniej lub bardziej regularnie – niemalże w każdym większym mieście, a często i po wsiach; można było na nich obejrzeć nowoczesne, często prototypowe narzędzia i urządzenia, ale też choćby zwierzęta hodowlane czy ekspozycje tematyczne poświęcone historii i etnografii.

Podobny charakter miało zwiedzanie tzw. gospodarstw wzorowych: urządzonych jak najekonomiczniej i najefektywniej, demonstrujących rozwiązania,

które uchodziły za użyteczne i warte tego, by je naśladować.

Pierwsza wycieczka chłopów polskich do Czech i Moraw trwała dwanaście dni. Na tle możliwości finansowych drobnego rolnika była dość kosztowna – wpisowe wynosiło 35 rubli. Zainteresowanych rekrutowała warszawska redakcja „Zarania” (o planowanej wycieczce wielokrotnie pisano na łamach czasopisma, żywo zachęcając do uczestnictwa); ona też odpowiadała za kwestie logistyczne (załatwienie paszportów, noclegów i transportu, przygotowanie programu). W Krakowie do wycieczki dołączył Teofil Kurczak, właściciel 10-hektarowego gospodarstwa pod Łowiczem, przebywający w Galicji na wygnaniu politycznym.

Taka podróż do Czech pełniła funkcję informacyjną, ale i formacyjną. Środowisko skupione wokół „Zarania” bardzo dużą wagę przywiązywało do poszerzania chłopskich horyzontów. Nie mniej istotne było to, co współcześnie nazwalibyśmy partycypacją obywatelską: rozwijanie samoświadomości, angażowanie chłopów w życie publiczne – na jakie tylko poddani caratu mogli sobie pozwolić.

Ograniczona działaniem cenzury prewencyjnej prasa długo zastępowała trybunę. Wobec dramatycznego stanu szkolnictwa ludowego zapewniała podstawową ofertę edukacyjną i popularyzowała wiedzę praktyczną. W pierwszych latach XX wieku piśmienny był co trzeci mieszkaniec Królestwa. W 1913 roku, kiedy populacja przekroczyła 13 milionów, istniało niewiele ponad 4,6 tysiąca państwowych szkół początkowych jedno- lub dwuklasowych, a także przeszło 800 prywatnych. W przeliczeniu na tysiąc mieszkańców naukę pobierało 25 dzieci. Brakowało świetlic, czytelni, bibliotek, kursów, odczytów. W następstwie wydarzeń rewolucyjnych z lat 1904–07 sytuacja uległa oczywiście zmianie (utworzono choćby Macierz Szkolną i Centralne Towarzystwo Rolnicze), ale społecznych i ekonomicznych konsekwencji feudalizmu – któremu formalny kres położył dopiero w 1864

roku dekret uwłaszczeniowy – nie dało się łatwo wymazać.

Dotyczy to również atmosfery pomiędzy chatą a dworem. Z jednej strony częstym zjawiskiem była nieufność, na ogół uzasadniona, z drugiej zaś równie często pojawiały się krzywdzące stereotypy: chłop jawił się nie tylko jako ciemny i zabobonny, lecz także – zwłaszcza kiedy stworzyć mu warunki do poprawy sytuacji materialnej – z natury swej chciwy, pełen egoizmu i skąpstwa. Podobny obraz powielano nawet w kontekście przedsiębiorczości jednostkowej i kooperatywy, niemal zupełnie ignorując ekonomiczne podłoże takich postaw.

Obserwacje poczynione podczas wycieczki do Danii były dość dobrze znane postępowej inteligencji wiejskiej i miejskiej. Zagadnienie kółek, spółek i stowarzyszeń rolniczych, postrzeganych jako dźwignia awansu społecznego oraz rozwoju gospodarczego i narodowego, doczekało się na początku XX wieku całkiem pokaźnej i wyjątkowo wartościowej literatury. Tym trudniej jednak przychodzi porównanie rzeczywistego położenia obu społeczeństw: królewickiego z duńskim (ale też choćby czeskim czy szwajcarskim). W Danii i Czechach przetwórczo przemysłowe stanowiące własność spółek chłopskich istniały już od lat 80. XIX wieku. W Królestwie pierwszą spółkę chłopską udało się zawiązać w roku 1899, a utracono ją wkrótce po ogłoszeniu manifestu październikowego (1905), kiedy Petersburg ponownie zastrzył kurs polityki wewnętrznej. Do 1905 roku na przeszkodzie nowym stowarzyszeniom stała głównie polityka, a i później pisano o inicjatywach, które zawiodły dlatego, że pod pozorem kooperatywy służyły jedynie realizacji partykularnych interesów dworu.

Kiedy zatem chłopci zwiedzali wystawę w Pradze, a następnie wsie czeskie i morawskie, stale doświadczali podwójnego dysonansu poznawczego. To, co widzieli, świadczyło o istnieniu różnicy cywilizacyjnej dzielącej dwa kraje, których dziedzictwo kulturowe wydawało

się nie tak odległe. Jednocześnie to, co widzieli, było dziełem nie kilku, lecz kilkudziesięciu lat, całego pokolenia. Tymczasem w Królestwie wielu fundamentalnych problemów wsi nadal nie rozwiązano. Nieuregulowana pozostała kwestia serwitutów, czyli przysługujących chłopom praw do użytkowania terenów leśnych i pastwisk, które należały do dworu. Ponad połowa gruntów rolnych znajdujących się w rękach chłopskich miała układ szachownicowy, jeśli nie wprost uniemożliwiający, to znacznie utrudniający efektywną uprawę. Średnie gospodarstwo zajmowało 6,5 hektara, co czwarte natomiast 2 hektary lub mniej. Kultura rolna była niska i nieintensywna, brakowało instytucji udzielających długo- i krótkoterminowego kredytu.

Nierozwinięty i niewydolny system szkolnictwa utrudniał posyłanie dzieci na naukę zawodu, a to znów skłaniało chłopów do dzielenia i tak już niewielkich gospodarstw. Również rolnictwo było niedofinansowane: ogólna wysokość subwencji rządowych dla Królestwa w 1909 roku wyniosła 31,5 tysiąca rubli, cztery lata później – 285 tysięcy; na każdego wydanego rubla rząd niemiecki inwestował w Prusach Wschodnich pięć. W połączeniu ze słabą infrastrukturą drogową i kolejową niska wydajność rolnictwa działała zresztą niczym błędne koło: podczas gdy na zachód od granic Królestwa wieś wchodziła w fazę elektryfikacji, w prasie polskiej można było raczej trafić na wywód przestrzegający przed nieopłacalnością takiego przedsięwzięcia.

Mimo niesprzyjających okoliczności chłopska samoorganizacja była jednak zjawiskiem zataczającym coraz szersze kręgi. Stopniowo dokonywała się też pewna rzeczywista emancypacja ludu. Relacja Teofila Kurczaka ukazała się pierwotnie w odcinkach na łamach „Zarania”. Za sprawą decyzji redaktorskiej Malinowskiego królewiacki chłop stał się pełnoprawnym sprawozdawcą, korespondentem zagranicznym, który posługuje się gatunkiem piśmienniczym o utrwalonej tradycji i randze, uprzednio zarezerwo-

wanym dla inteligencji i oświeconego ziemiaństwa. Samemu piętnując zacofanie ludu polskiego, tylko do nich dołączał – ot, kolejny głos w jednobrzmiącym chórze. Ale pisał z myślą o chłopskim czytelniku i to do niego się zwracał.

Jakub Jakubaszek

(ur. 1986) – kulturoznawca, absolwent
Instytutu Kultury Polskiej UW.

Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą imaginariom społecznemu inteligencji prowincjonalnej Królestwa Polskiego na przełomie XIX i XX wieku.

Tekst powstał w ramach projektu „Pierwsza wycieczka włościan polskich do Czech i na Morawy w 1908 roku – publikacja wspomnień po polsku i czesku”, który został zrealizowany w ramach zadania publicznego „Forum Polsko-Czeskie na rzecz zbliżenia społeczeństw, pogłębianej współpracy i dobrego sąsiedztwa 2019”.



Zadanie publiczne współfinansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w konkursie „Forum Polsko-Czeskie 2019”.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.

PARTNER PROJEKTU

_pant

Stowarzyszenie obywatelskie PANT



FOT. FRANTIŠEK KRÁTKÝ / ZE ZBĚROU PAVLA SCHEJBLERA

↑ Beroun (30 kilometrów od czeskiej Pragi), około 1890